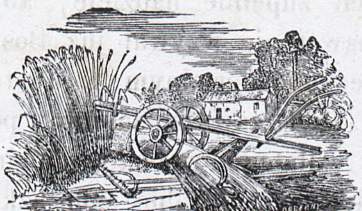
Tom I. 21. Czerwca 1870. Nr. 18.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Krzyż wioskowy.

Pod samym Krakowem leży piękna wieś Łobzów. Włościanie tej wsi pamiętają lepsze czasy. Pamiętają owe czasy, kiedy w zamku, co się w pośrodku wsi wznosił, przemieszkiwali polscy królowie. Ale w czasie, gdy się to działo, co wam mili czytelnicy opowiedzieć zamierzam, to jest za panowania króla polskiego Zygmunta III. zamek królewski w Łobzowie stał pustką, chociaż świeżo staraniem tego króla odnowiony. Król Zygmunt III. bowiem, przeniósł stolicę polski z Krakowa do Warszawy i odtąd, dla zbyt wielkiej odległości nie zjeżdżał na lato do Łobzowa, jak to czynili jego poprzednicy.

Pańskie oko konia tuczy; gdy pan nie pilnuje, chudoba biedę uczuje, mówi przysłowie. Kraków osierocony, zapomniany, tracił powoli dawną świetność, a i Łobzów także podupadał.

Biedy jednak nie było jeszcze widać w Łobzowie, prócz u jednego Michała Cwioka. Był też to bardzo nieszczęśliwy człowiek: dzieci miał bez liku a gospodarstwo się nie wiodło, rola nie rodziła. Do tego w pięciu latach trzy razy pogorzał. Wśród tych ciągłych klęsk, które Stwórca w niedoświadczonych swoich wyrokach, jedną po drugiej zsyłał na niego, biedaczysko tak podupadł na duchu, że zupełnie zwątpił o miłosierdziu

Boskiem, i mając się za jakąś upośledzoną odepchniętą od Boga istotę, stracił zupełnie nadzieję, aby mu kiedy lepsza zajaśniała dola i nawet nie wzywał już Boskiej pomocy i zmiłowania. Żyjąc w grzechu śmiertelnym, a do tego wśród ciągłych trosk i nieszczęść, był zawsze smutny, ponury, małomowny. Sąsiadów, kumów, dlatego właśnie, że im się lepiej działo, znienawidził i unikał, czem sobie sam szkodził, bo nie jeden z krewniaków rad mu był podać rękę w nieszczęściu. Uroiło mu się, że jak Bóg tak i świat cały odwrócił się od niego, chociaż to właściwie on tylko sam odwrócił się od Boga i od świata. Otóż do czego prowadzi brak wiary i ufności w Boga, zwątpienie i rozpacz.

Jakby na ostateczne zgnębienie biednego Michała zesłał Bóg na jego żonę ciężką chorobę. Zdawało się, że już teraz nie ma ratunku dla nieszczęśliwej rodziny. Dzieci głodne, zbiedzone, brudne, tuliły się koło biednej matki wołając chleba, ale matka była tak cierpiąca, że się ani ruszyć nie mogła. Michałowi serce pękało, targał włosy z rozpaczy, ale przecie nie ugiął kolana przed Bogiem, nie uciekł się o pomoc i radę do nikogo z sąsiadów.

— Michale ratuj, nie daj mi ginąć marnie, wołała nieszczęśliwa kobieta, cóż się stanie z temi sierotami po mojej śmierci!

Michał zgrzytnął zębami, załamał ręce:

— Cóż ci poradzę? jak cię mam ratować? Jeżli ci to pomoże jak łeb o mur rozbiję, to chętnie to uczynię, bo i tak mi życie obmierzło.

— Idź do Jana Wielgusa, jego żona niedawno tak samo chorowała, spytaj się, co robili.

Michał uśmiechnął się gorzko i westchnął, poczem wyszedł z izby, posiedział trochę na ławce przed domem, podumał i ręce wtył założywszy, powlókł się zwolna drożyną. Krzyż stał przy drodze, stary, mchem obrosły i miłośnie ku przechodniom wyciągał ramiona, jak stary ojciec do dzieci. Ileż to już łez pod tym krzyżem niedola wylała, ile pociech wyprosili sobie cierpiący. Ścieżka pod sam krzyż dobrze wydeptana, świadczy że tu często mieszkańcy wioski przychodzą, ale i ścieżka pro-

wadząca do karczmy, zaledwie o paręset kroków ztąd oddalonej, także nie zarosła chwastem! Jak wszędzie, tak i w Łobzowie krzyż dla jednych, karczma dla drugich jest źródłem pociechy. Jedni jej w modlitwie drudzy w kieliszku szukają. A Michał? Michał przyszedłszy pod krzyż, ani spojrzał na niego, czapki nawet nie uchylił. Pierwszy raz mu się to zdarzyło, bo dotąd chociaż się nie modlił, przecież nigdy do tego stopnia się nie zapomniał. Ale zaledwie uszedł kilka kroków, dobra natura przemogła: obrócił się, zdjął czapkę, a nawet się przeżegnał z uszanowaniem, jakby dla naprawienia tego co był uczynił. Chociaż był to zaledwie cień skruchy, anioł stróż dostrzegł go zaraz i z wesołem poselstwem pospieszył do nieba, a Bóg litościwy i tę odrobinę przyjął łaskawie.

Michał poszedł do karczmy, minął w milczeniu kilku sąsiadów, których tam zastał i kazał sobie podać wódki za ostatnie dwa grosze. Dziwna jakaś siła odpychała go jednak od kieliszka, że nawet ust nie umaczał. Wtem wszedł do karczmy Jan Wielgus, a spostrzegłszy Michała, zbliżył się ku niemu i pozdrowił.

— Witajcie Michale, mnie żona moja do was posyła, bo się dowiedziała, że wasza słabuje; jeźli nie pogardzicie życzliwem słowem, chcemy wam dać dobrą radę. Michał odwrócił się z niechęcią i westchnął:

— Bóg zapłać — dla takich jak ja nie ma rady.

— Ej wy zawsze swoje, rzecze Jan, ja z całego serca do was gadam, a wy się odwracacie.

W tej chwili gwar jakiś zrobił się przed karczmą: ludzie wybiegli do sieni i Jan z Michałem także wyszli za drugimi. Czterokonny pojazd stał przed karczmą. Dwa konie właśnie padły, a dwa drugie okropnie bokami robiły, zziajane i pyłem okryte. Snać pędzono nie na żarty. Woźnica skoczył z kozła i rzucił się do koni, a drugi sługa dworski, bo nikogo więcej w pojeździe nie było, wołał na przypatrujących się chłopów:

— Hej chamy! przyprowadzić tu zaraz parę koni, tu idzie o życie pana wojewody, pan wojewoda zapłaci złotem... hej żwawo! ani chwili nie ma do stracenia!

Gdy on tak wykrzykuje na chłopów, Jan gwałtem ciągnął Michała za sobą.

— Czego mię ciągniecie? powie Michał, nie słyszycie, że tu złoto obiecują? A dalejże prędzej po konie... ja nie pójdę bo ich nie mam.

— Nie chciwym na zarobek, odrzecze Jan i złoto mi nie potrzebne, ale potrzebna mi jest łaska Pana Boga, a wiem, że na nią zasłużę, jak was dobrą radą poratuję.

Michał czoło zmarszczył i ustąpił z Janem kilka kroków w bok. Jan rzekł:

— Moją żonę, która niedawno tak samo jak wasza chorowała, uleczył doktor z Krakowa, który zowie się Sebastyan Petrycy, anioł nie człowiek. Jeżli chcecie dam wam koni, i sam z wami pojadę, poprosimy, a ręczę wam głową, że kobieta wasza za tydzień wstanie.

Michał wzruszył ramionami

— Jakto wolicie dać koni mnie za darmo, niż tam za złoto?

— Widać, że wolę, odpowie poczciwy Wielgus, ale już nie pytajcie o nic, jeno chodźcie siadać na wóz, bo szkoda czasu.

Przyjechali do Krakowa, wchodzą do wiadomej Janowi kamienicy, a potem na schody, prowadzące do mieszkania doktora. Gdy weszli do pierwszej izby, ujrzeli w drugiej starca z długą brodą siedzącego nad wielką księgą. Obok niego stał kościotrup ludzki, na stole kilka czaszek i kości leżało, które starzec brał do rąk, opatrywał i znowu się w księdze zatapiał.

Był to pan Petrycy. Posłyszawszy, że ktoś wszedł, udał się do pierwszej izby. Jan i Michał skłonili się, pozdrowieni uprzejmie; Jan się przypomniał doktorowi, obaj proszą, aby jechał do chorej Michałowej.

— Dobrze moi kochani, powie Petrycy, zaraz pojadę, poczekajcież niech się zbiorę.

Radość zajaśniała na ich twarzach, a wtem drzwi się z trzaskiem otwarły, wchodzi ten sam sługa, co przed karczmą Łobzowską złotem chciał płacić za konia.

Pan Petrycy spytał czego żąda.

— Pan Wojewoda śmiertelnie chory, przysyła po pana doktora. Pędzę co koń wyskoczy — dwa konie padły w Łobzowie, alem najął od chłopów, wszystko gotowe tylko siadać.

Jan się zakłopotał:

— A to mi klina zabił... biedny Michał! tom mu się przysłużył. Cóż ja teraz pocznę? Chyba innego doktora trzeba szukać...

A Michał uśmiechnął się gorzko po swojemu i pomyślał:

— Wiedziałem, że tak będzie... takim jak ja zawsze tak się dzieje... dla takich jak ja nie ma rady, nie ma ratunku...

Lecz pan Petrycy przerwał te ich smutne myśli.

— Mój przyjacielu, rzekł do sługi, teraz nie mogę jechać, bo widzisz, ci ludzie pierwej przyszli, więc...

Sługa z pogardą spojrzał na chłopów, dziwnem mu się to zdało, że im ktoś daje pierwszeństwo przed jego panem i rzekł:

— Pan wojewoda zapłaci...

— Wiem, wiem, odparł prędko pan Petrycy, ale też właśnie dla tego im się należy pierwszeństwo.

Bogaty dziesięciu Petrycych mieć może, a ubogi żadnego. Pan wojewoda jeżli umrze, zostawi majętność, a żona tego biedaka, jeżli umrze, zostawi sieroty.

Teraz już sługa wojewody zapomniał języka w gębie, a co się działo w sercach poczciwego Jana i nieszczęśliwego Michała, każdy sobie łatwo wyobrazi.

Przyjechali niebawem do Łobzowa. Pan Petrycy opatrzył chorą, dał leki i zaraz się jej lepiej zrobiło. Posiedział chwilę, pogadał, pouczył, nie żałował czasu, ani myślał o tem, że tam pan wojewoda może się niecierpliwi.

W tydzień potem dzieci Michałowe przez wdzięczność, że Bóg ich matce powrócił zdrowie, polnemi kwiaty umaiły krzyż wioskowy. Z radością w sercu widziała matka ten ich piękny uczynek. Klękła pod krzyżem i modliła się długo. A gdy odeszła, nadszedł Michał wracający właśnie od spowiedzi. Rzuciwszy się do stóp krzyża, objął go rękami i łzami polewał. Z Bogiem i z ludźmi pojednany inaczej już na świat poglądał: przekonał się, że i Bóg jest miłosierny i ludzie nie tak źli jak mu się zdawało.

Odtąd dola jego polepszała się stopniowo. Doktor Petrycy zaś w kilka lat potem umarł. Wszyscy ubodzy gorzko jego stratę opłakiwali, mówiąc: już po nas, kiedy Petrycy nie żyje! Był on rodem z Pilzna, pochowany w Krakowie. Krótko przed śmiercią sam ułożył sobie nagrobek następujący: „Stolicy, ojczyźnie i wszystkim starałem się służyć pismem, przykładem i radą. Strzegłem się prożnowania i poświęciłem się pracy. Gościu! wejrzyj w siebie i pomnij, iż tylko ten żyje, kto pracą i cnotą dla dobra powszechnego chwile swe poświęca“

Stanisław Krakowczyk.

Szczęście.

Na innych, Boże, płyną z Twojej ręki,
Zdroje bogactwa, potęgi i chwały,
A jam i biedny, i lichy, i mały,
I za toć składam najgorętsze dzięki.

I błogosławięć za ubóstwo swoje,
I błogosławię za swój stan prostaczy;
Bom w nich bogatszy od świata bogaczy,
I od mocarzy świata wyżej stoję.

Bo wiara w szczerą miłość mych współbraci,
To skarb mój wszystek, chluba to prawdziwa;
Ona to tylko, ona mię bogaci,
I najwspanialszą purpurą okrywa.

A jakże nie ma wierzyć, dobry Boże,
Tej świętej Ducha Twojego iskierce,
Taki, kto z siebie nic więcej nie może,
Dać bliźnim swoim, krom serca za serce?

A więc z ufnością skwapliwie i szczerze,
Kochanym braciom swym podaję ręce,
I całem sercem ich współczuciu wierzę,
I tobie Panie, hołd dziękczynny święcę,

Za niewielmożność i ubóstwo swoje,
Którym obłuda nie zachodzi w drogę,
Przez które zdradnych pochlebstw się nie boję,
I dobrze słowo brać za prawdę mogę.

I choć mię nieraz serce srodze boli,
Choć mi powieka łzą nabrzmiewa krwawą,
Przez miłość ludzką, w smutku i niedoli,
Szczęśliwym jeszcze nazwać się mam prawo.

Adam Pług.

Dumka.

Na dolinie, na zielonej
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony
Na zakręcie brzozę białą.

Do gościnca droga długa,
Na niej lipy i topole;
Poza wzgórzem srebna struga,
A za strugą szczere pole.

Nawet kwiatki takież prawie,
Na pagórku, na przydrożu,
Dziki piołun w bujnej trawie,
I bławatki rosną w zbożu.

Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstaju,
A dąb siny u potoku,
Tobym myślał, żem już w kraju.

Jaka cicha szczęsna chatka!..
Przy niej matka, dziewcząt dwoje,
Czemuż to nie moja matka,
Czemuż to nie siostry moje?..

T. L.

Zbiór herbaty.

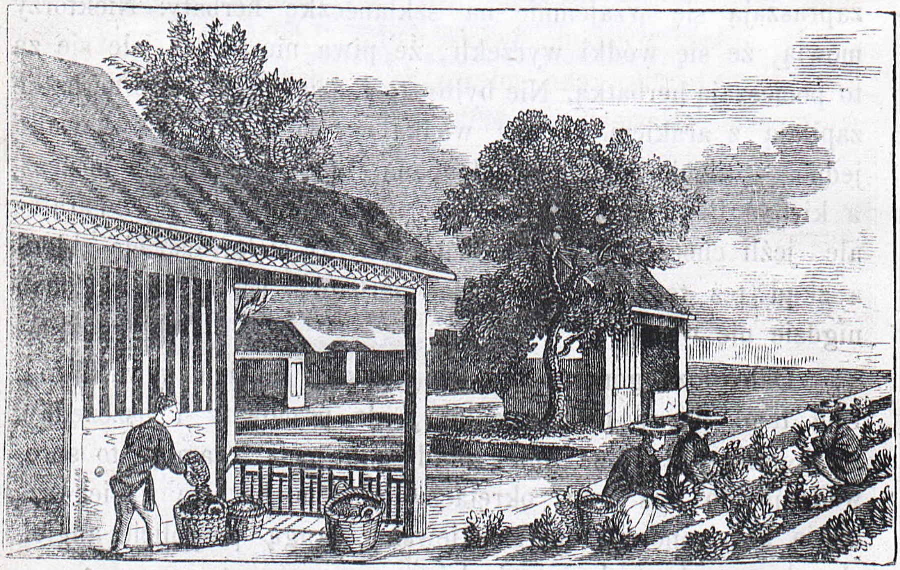
I pomiędzy ludkiem naszym zdarza się już często, że w czasie jarmarku, po dobitym targu, gospodarze i gosposie zapraszają się wzajemnie na szklaneczkę herbaty. Niektórzy mówią, że się wódki wyrzekli, że piwa nie lubią; ale się za to pocieszają herbatką. Nie byłby to żaden grzech, aleć herbatkę zapijają z arakiem, a czy wódka czy arak, toć to wszystko jedno — siebie oszukasz, ale pana Bogą oszukać nie możesz, a kiedyś Bogu przyrzekł, że nie pijesz wódki, nie pijże i araku; ale jeżli chcesz, czystą herbatę. Nieraz ciekawość cię zbiera a zkąd też to wzięła się u nas herbata? Toć u nas podobno nigdzie nie rośnie.

Daleko za górami i morzami jest kraj, co się nazywa China. Lud tam liczny nadzwyczajnie, ale pracowity i oszczędny. Kraj gorący, tak że śnieg nigdy nie pada. Ztamtąd to sprowadzają do nas i na okrętach i lądem herbatę. Pierwszą zowią karawanową, lub moskiewską, drugą pospolicie angielską, bo na okrętach przychodzi.

Herbata jest to roślina wysoka trzy do sześciu stóp. Rośnie na gruncie miernym, potrzeba jednak wiele pracy i potu,

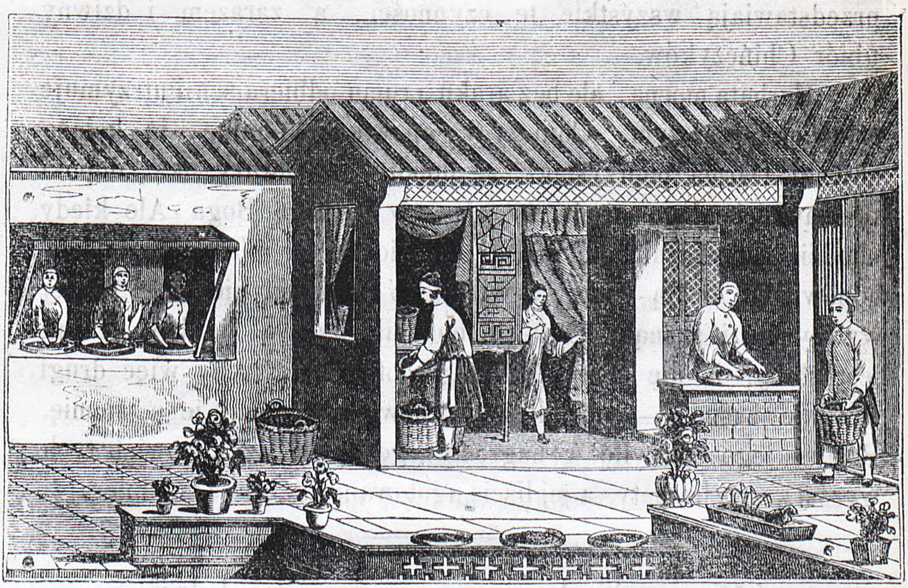


aby ją należycie zebrać. W trzecim roku, bo pierwej nie można, obrywa robotnik czyściutko ubrany i należycie wykąpany pojedyncze listeczki, a kiedy tylko nieco się zmęczył i spocił idzie natychmiast do kąpieli, i starannie się myje. Dziennie może

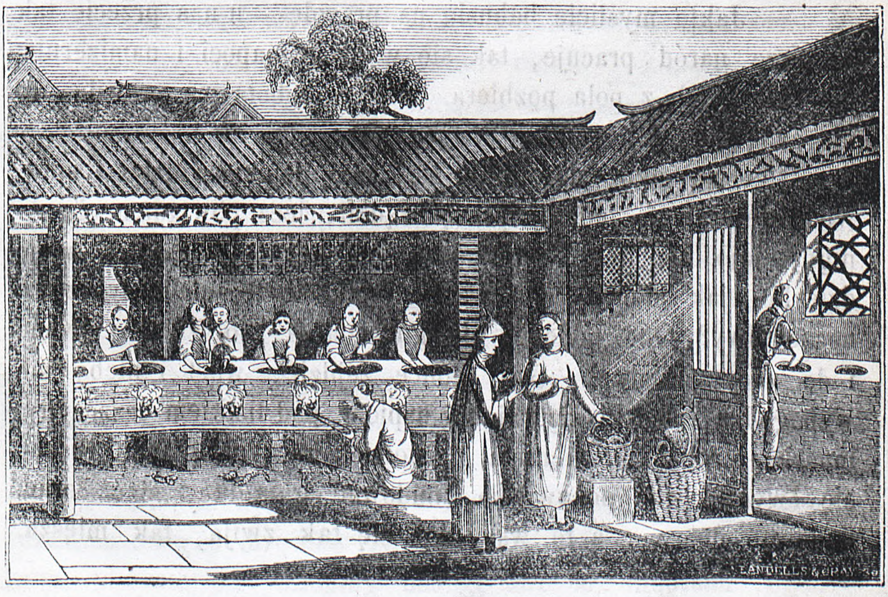


uzbierać 10 do 15 funtów. Co roku zaś odbywają się 3 lub 4 zbiory herbaty, mianowicie ku końcu lutego, w maju, w połowie czerwca i w sierpniu. Najlepsza herbata jest ze zbioru pierwszego, następne co raz gorsze gatunki. Po siedmiu latach

wycinają wszystkie rośliny herbaciane i z nowych wypustków, jak już wspomnieliśmy zbierają herbatę dopiero w trzecim roku. Kiedy listki ebrano, kładą je w małe piecyki i suszą. Na piecykach tych ustawione są małe płaskie panewki, a obok



stoją stoły okryte matami. Gdy się panewki należycie rozgrzały, układają na nie świeże listki. Listki poczynają pękać a wtedy robotnik ręką miesza je w panewce, dopóki może wytrzymać. Następnie chochlą wybierają się listki i układają



na stołach, a robotnicy biorą je w ręce w małych ilościach i zwijają. Kiedy w ten sposób wysuszono herbatę, wtedy wybierają co lepsze osobno, i albo chowają na domowy użytek albo opakowują i wysyłają na sprzedaż. Obrazki załączone przedstawiają wszystkie te czynności, a zarazem i dziwny ubiór Chińczyków.

Herbata mocna, ale bez araku i rumu odbiera sen i utrzymuje człowieka rzeźwym. Chińczycy opowiadają bajkę, iż książę chiński Darma poprzysiągł, że dopóty nie zmruży oka, dopóki nie nawróci całego narodu do wiary w jednego Boga. Ale kiedy chodził ustawicznie od wioski do wioski od miasta do miasta i opowiadał swoją wiarę, z wielkiego zmużenia nie mógł dłużej wytrzymać i zasnął Gdy się obudził, żałował bardzo, że tak jest słaby, iż nie może przysięgi dotrzymać. Aby więc drugi raz nie zasnąć — obciął sobie powieki i rzucił je o ziemię. Bóstwo jego sprawiło w nagrodę tego czynu, iż z powiek tych wyrósł krzew herbaty, a jej liście ugotowane dlatego sen odbierają.

Opowiadanie mojej babki.

— Jakieby to u nas były urodzaje, gdyby ludzie umieli na prawdę gospodarować, mówiła do mnie raz moja babka staruszka.

— Jakto myślicie babusiu na prawdę — u nas przecie tak szczerze naród pracuje, tak się w lecie napoci i namizeruje, nim ten chleb z pola pozbiera. Już to robota na prawdę, to nie zabawka.

— Na oko zdawałoby się, żeś lepiej widział i sprawiedliwej niż ja ludzką pracę osądził, lecz powiadam ci, że nigdy jajo nie było mądrzejsze od kury. Widziałeś moje dziecko, jak słońce rano wstaje i jak serdecznie przygrzewa nasze niwy? Ono podobne do gospodarza, co wstał o świcie i do nocy pracował. Gdy słońce zejdzie, wnet i niebo się wypogadza, ptaszki zrywają się uśpione pod listkiem leszczyny, muszki i robaki, zwierzęta i człowiek zaczynają żyć, ruszać się, wyszukiwać pożywienia, budować gniazdka, siać, orać, budować domy... a to wszystko się tak zwija, tak miesza,

a jedno drugiemu nie przeszkadza. Rolnik idzie za pługiem, co go ciągnie koń, lub woły, a nad nim wysoko zakręca kółka skowronek w powietrzu, a śpiewa, a z daleka po zaoranem polu, po skibach długie nogi wyciąga bocian i co chwila pochyla szyję i zbiera owady; rolnikowi nad uchem zabrzęczała pszczółka, leci po miód na kwiaty: tyle zamięszania w świecie, ale słońce gospodarz patrzy na to wszystko i pilnuje porządku. Bywa też czasami, że słońce się spóźni albo i całkiem obwinie się chmurami i drzemie na niebie, wtenczas i rolnik zaśpi i późno wyjdzie na pole, ptaszki się późno pobudzą i pszczoła późno wylatuje do pracy, a kogut śpiący, co chwila strzepie skrzydłami i pieje na całe gardło, aby się rozbudzić.

— Do czegoż to zmierza, babusiu, ja widziałem i słyszałem wszystko, co babka opowiada.

— Chcę cię tem przekonać, dlaczego powiedziałam, że u nas nie gospodarują na prawdę. Na ziemi dnie pogodne i słotne najczęściej się wyrównują, lecz gdy przypadkiem słońce za często gdzieś na niebie się zabawia, a u nas deszcze leją na ziemię i całe gospodarstwo się rozpręże, wtenczas urodzaje liche, żniwo biedne, a ludzie cierpią nędzę.

— A jakże temu ludzie zaradzą, aby słoty nie było?

— Na to nie ma rady, ale jest rada na to, aby nie było biedy... Opowiem ci przykład do tego. Zajechał raz gospodarz do karczmy w ulewę, aby się schronić przed deszczem, lecz dach był dziurawy i zewsząd ciekło i kapało na wóz i konie gospodarza, krzyknął więc na arendarza: czemu dachu nie każesz naprawić? Panie gospodarzu, powiada arendarz, jakże ja mogę dach naprawiać, kiedy deszcz pada? To każ naprawić w pogodę. W pogodę nie potrzebuję naprawiać, bo deszcz przez dach nie leje. Mój synu, gdy będziemy tak postępować jak arendarz, to nam w każdą słotę nieszczęście się za kołnierz naleje. Ale myśmy w pogodę powinni pamiętać, że przyjść mogą dni słotne. Powinniśmy w lato urodzajne pamiętać, że nastać mogą nieurodzaje.

— Teraz już rozumię.

— Ale spytałby kto, z czego tu można na złe czasy przechować, gdy człowiek co roku tyle zbierze, ile mu konie-

cznie do życia potrzeba. U nas tak jest w części, ale najczęściej dzieje się przewrotnie. Zbierze się na żniwo dużo chleba, więc mój gospodarz sprasza sąsiadów i sobie dogadza dopóki pełno w komorze, a gdy przyjdzie przednowek, to się kuli, i wyszukuje zieleninę, jak bydło i pożycza na lichwę, a wszystko dla tego, że się nie obrachował i źle zarządził.

— A cóż ma zrobić, gdy na prawdę zebrał z pola za mało?

— Powinien się był postarać o to, aby zebrał więcej. Powinien był zapatrzyć się na słońce gospodarza, co wstało raniutko, a ani chwili nie odpoczywało z założonemi rękami. Powinien czas uszanować i zużytkować

— Mnie się zdaje babusiu, że te rzeczy, które się szanuje, leżą na półce w komorze, albo w skrzyni, toż i czas szanować potrzeba, a nie zużywać.

— Nie moje dziecko, czas się właśnie przez to poniewiera, że się go nie używa. Czas to jak woda, gdy ją w beczce przez kilka dni potrzymasz, to spleśnieje, a gdy użyjesz, to i strawę na wodzie zgotujesz, wypierzesz brudną bieliznę i siebie z brudu obmyjesz. Dla tego potrzeba czas zapełnić pracą. Lecz nasi ludzie na wsi nie szanują czasu, późno wstanie, leniwo pracuje, wyciąga się na wszystkie strony, a ziewa, nawet chód naszego wieśniaka taki ociężały, powolny. Jeżelibyś chciał mieć przykład, jak człowiek pracowity dochodzi do majątku, to ci tylko wskażę na żydów. Popatrz, jaki on ruchliwy, jak szybko się zwija, jak zapobiegliwy, a z wszystkiego umie korzystać. Powiesz mi może, że żydzi szachrują? Ale ja ci na to odpowiem, że między katolikami znałem takich szachrai, że się dziwiłem, jak to być może, aby takich ludzi święta ziemia nosiła. Ale popatrz na żydowską kobietę, jak ona z czasu korzysta, siedzi za szynkwasem, odprawia i handluje z każdym, co ma do niej interes, a robi pończochę, a ile takich pończoch na rok się zbierze? Popatrz na żydowską rodzinę, jest kilkoro dzieci, a we wsi nie ma szkoły, ale arendarz trzyma nauczyciela do dzieci, co je uczy czytać na żydowskiej książce. U nas dla katolików szkoły pobudowane, a iluż to gospodarzy można naliczyć, co swoich dzieci do szkoły nie posyłają? Żyd się nauczył czytać po żydowsku

i czyta biblię, – a wiecie, że biblia żydowska taka sama jak nasza, i nasze dzieci także uczą się żydowskiej historyi przed narodzeniem Chrystusa Pana, bo Jezus Chrystus urodził się w Żydowskim narodzie.

— Toż mamy zostać żydami?

— Nie synu, mamy tylko od nich nauczyć się z czasu korzystać. Bo widzisz ja mam drogie korale, a sąsiadce Katarzynie one się podobały i w mieście takie same kupiła, toż jeszcze Katarzyna mną nie została. Starajmy się zawsze od drugich nabyć to, co w nich jest dobrego, więc gospodarności i oszczędności uczmy się od żydów. Bądźmy jak oni wyrachowani, uczmy jak oni swoje dzieci czytać i pisać, a czasu nie marnujmy, a będziemy mieć jak oni pieniądze i ratunek na złe czasy i biały chleb na przednowku. Na zakończenie powiem ci jeszcze jedną przypowiastkę, ale nie wymyśloną, tylko szczerą prawdę.

— Żyd Leizor był biednym krawcem i jakoś mu się nie szczęściło. Pracował i oszczędzał, a przecie nie mógł przyjść do pieniędzy, zwinął więc węzełek, wziął kij w rękę i tak po drodze zarabiając igiełką, zawędrował aż nad szerokie morze. Jako potrzebnego rzemieślnika przyjęli go na okręcie i tak przez morze przeprawił się do Ameryki. W Ameryce znalazł się między ludźmi obcymi, a nie rozumiał ich mowy, ani oni jego żydowskiego nie rozumieli języka. Ale Lejzor umiał po amerykańsku rachować i myślał sobie, jeżeli już umię rachować potrafię sobie znaleść robotę. Jak zaczął chodzić i z początku łatać a potem suknie nowe robić, a grosik do grosza składać i oszczędzać tak po kilku latach otworzył sklep w dużem mieście, a dziś jest jednym z najbogatszych kupców. Bo umiał czas oszczędzać, i gospodarować na prawdę, szczerze a wytrwale.

Rozmaitości.

* Pewien o zbrodnią obwiniony w Stokholmie w Szwecyi, według fałszywego świadectwa, skazany został na rusztowanie. Wyprowadzony na miejsce do wykonania kary przeznaczone, dostrzegł niespodzianie pomiędzy zgromadzonym ludem, swojego oskarżyciela, a wtedy wzniósl rękę

do góry i zawołał głośno: Świadku fałszywy! Świadku fałszywy! Dziś a jutro pozywam cię przed sąd Boga sprawiedliwego! — I w tej samej chwili, kiedy głowa niewinnego pod mieczem katowskim upadła, wtedy i krzywoprzysiężki świadek padł na ziemię i w gwałtownych konwulsyach zakończył życie.

* Zmarłemu Arcybiskupowi w Bordo we Francji, za jego życia jeszcze, dano znać pewnego razu, około Wielkiejnocy, o zgłoszeniu się do niego ubogiej niewiasty, która z prośbą udawała się do znanej jego serca dobroci i litości nad cierpieniem bliźniego.

— W jakim wieku ta kobieta? zapytał się Arcybiskup swojego szatnego.

— Ma prawdopodobnie około 70 lat.

— Czy rzeczywiście w przykrem jest położeniu?

— Sama przynajmniej tak mówi.

— Toć trzeba temu i wierzyć. Dajcie jej 25 franków.

— Jakto, 25 franków? łaskawy Panie, ta kobieta to żydówka!

— Żydówka? o to znowu co innego; dajcie jej więc 50 franków, i podziękujcie jej za położone we mnie zaufanie.

* Jaki z gwiazd użytek? W pewnem dość licznem towarzystwie, pomiędzy wielu przedmiotami zajmującej rozmowy, ktoś niespodzianie zapytał: Jaki też nam gwiazdy użytek przynoszą? — Co na to odpowiedzieć, jeden na drugiego spoglądał ciekawie; wreszcie majętny kupiec przerwał ogólne milczenie:

— Wiele w mojem życiu odbyłem podróży, rozliczne załatwiałem interesa, ale nigdy nie było zdarzenia, żeby się gwiazdy przyczyniły do pomyślnego uskutecznienia spraw moich.

— Czyliż to zawsze ma nam wszystko przynosić korzyści i zyski, rzekła jedna z pań, muzyka i kwiaty są także mniej użyteczne, ale że piękne, są one dla mnie rozkoszą prawdziwą.

— Daruj pani, że się jej sprzeciwię, odezwał się wojskowy, muzyka nie mały przynosi użytek, ona ułatwia pochód żołnierzom, i do niejednego przyczyniła się zwycięztwa.

— I kwiaty są użyteczne, bo pszczołom dostarczają pożywienia, a krowy z pożytecznych roślin raczą nas wybornem mlekiem obficie, dodał wiejski gospodarz.

Na takie zdania stary z ogorzałą twarzą żeglarz, co to prawie całe życie na morzu przepędził, poczerniał, błyskał oczami, a wargi mu zadrgały; nareszcie rzekł z przekąsem: Dla was moi państwo, co wygodnie przy piecu siedzicie, dla was zapewne mniej są gwiazdy potrzebne, w waszem mieszkaniu w każdy kąt traficie, a gdy od siebie z domu wyjdziecie, to po wszystkich ulicach i placach, liczby i szyldy na wszystkich umieszczone kamienicach, potrzebne wam miejsce wskazują, a jeźli wyjdziecie za miasto, to napisy naddrożne uwiadamiają was, którędy dalej udać się macie, bo to wszystko dla waszej wygody obmyślone. Ale kto tylko na rozległy świat głowę wychylił, i z numerowanych ulic i gościńców napisami oznaczonych, dostał się na pustynię lub na otwarte morze, ten przekona się wtedy o pożytku z gwiazd wynikającym, i Bogu za nie podziękuje. Kiedy wędrowcy

przyjdą na pustynię, a ostatnie góry i pagórki zaczną się z przed ich oczu uchylać powoli, i znikną nareszcie, a oni wówczas wkoło siebie nic nie widzą, prócz piasku i nieba, któż wtedy wskaże drogę biednym, samym sobie zostawionym wędrowcom? Tam nie ma strumyka, nie ma gościńca, ani drogi, ani ścieżki; żadnego śladu poprzednio tędy przechodzących pielgrzymów nie ujrzysz, bo wiatr suchym a lekkim piaskiem wszystko zasypał, wyrównał, a cała nieprzejrzana ze wszystkich stron okolica, rozciąga się przed naszemi oczami, jak powierzchnia równa i gładka. Żaden pomysł ludzki nie wskaże drogi, nie zawiedzie do celu podróży. Wtedy to potrzeba oczy zwrócić ku niebu, i kierować się według biegu słońca; to zaś rozpala głowy wędrowców i znagla ich do przywdziania obszernych zawojów, aby się uchronili od gwałtownej słabości, podczas gdy w straszliwym żarze słonecznym z trudnością po usuwającym się z pod nóg piasku postępować przychodzi. Dla tego dogodniej podróżuje się nocą, lub wcześniej przed wschodem słońca, i wieczorem po zachodzie. Wtedy to zjawiają się gwiazdy, które od tysiąców tysięcy lat wiecznie i niewzruszenie na jednem miejscu pozostają na niebie, jak: gwiazda polarna, plejady, syryusz, i inne znane wam przynajmniej z kalendarza; ci więc niebiescy przewodnicy, są dobrodzyńcami i opiekunami podróżnych, bo oni nie tylko prawdziwą wskazują im drogę, a znaną wszystkim podróżnym, nie tylko im niemylny wskazują kierunek, ale pewnie i bezpiecznie do zamierzonego prowadzą celu.

I tu niekiedy dają się słyszeć bez myśli prawie, przy pożegnaniu oddalającego się przyjaciela, wyrzeczone słowa: Niech cię szczęśliwie gwiazdy prowadzą; tam znowu wybierającym się na pustynię, życzą zawsze pomyślnego światła gwiazd; te zaś pożegnalne wyrazy, głębokie swoje mają znaczenie. Kiedy się niebo zasępi, a gwiazdy pobledną, wtedy wędrowiec, jak od wszystkich opuszczony, w niczem sobie zaradzić nie zdoła, i musi czekać, chociażby mu i ginąć przyszło, dopóki mu słońce, księżyc lub gwiazdy nie zabłysną; bez nich bowiem nie wie, gdzie prawo lub lewo, jak to podobnie i w naszym kraju podróżującym trafiać się zwykło, kiedy ich gęsta mgła na obszernej, śniegiem pokrytej płaszczyźnie, niespodzianie napadnie.

Przebywający pustynie a znaglony czekać na słońce, księżyc i gwiazdy, ma przynajmniej grunt stały przed sobą; ale o wieleż to jest dotkliwiej dla żeglarza na kołyszących się falach, na pełnem morzu pomiędzy niebem a wodą, na wątłym statku zostającego, kiedy mu światła niebieskie pogasną, albo mgła pomrokę przed jego oczami rozwiedzie! Oczekiwanie pomyślniejszej w tych miejscach chwili jest jeszcze niebezpieczniejsze, bo wiatru przeciwnego powściągnąć niepodobna, ale uledz mu potrzeba, a może tuż przed nim skały podwodne i zaspy rozciągają się w około, lub też może pędem wichrów na sto mil z zamierzonej drogi spędzony, w każdej chwili widzi grożące mu niebezpieczeństwo, i niemylną zgubę w głębiach morza.

Gdy więc w ostatecznej potrzebie chmury się znowu rozsunęły, a niebo wyjaśniło, i gwiazda z gromady Oryona zabłysła, wtedy żeglarz zwraca swój teleskop na niego, mierzy wysokość gwiazdy na niebie, patrzy na kompas i na zegar, i uważnie odbywa w tym celu potrzebne rachunki. Jeżeli ma dobre narzędzia i zegar dokładnie idący, to zboczenie ku wschodowi lub ku zachodowi z pewnością oznaczyć może, a jeżli jeszcze z nauką swoją dostatecznie jest obeznany, to na morskiej mapie wskaże miejsce i rzeknie: Teraz płyniemy o tyle i tyle mil od chwili zboczenia z zamierzonej drogi. Chwała Bogu! Skały na mapie oznaczone leżą jeszcze o parę mil od naszego statku. Sterniku, miej się na prawo!

Teraz więc moi państwo pojmiecie zapewne, jaki nam gwiazdy pożytek przynoszą. Wiele ludzi zaledwie kiedy-niekiedy późnym wieczorem wracając do domu, spojrzy na iskrzące się od gwiazd niebo, a mało z nich który zna ledwo mleczną drogę, jutrzenkę lub wóz; my zaś żeglarze niewymownie dziękujemy Bogu, za umieszczenie niewzruszone tych lśniących światów na niebie, które nam za nieomylnych w naszych podróżach służą przewodników.

Żeglarz umilkł, a każden z obecnych o prawdzie słów przez doświadczonego w podróżach męża przekonany, zagłębił się w myślach i długie zachował milczenie.

Wtedy nareszcie i ja ośmieliłem się powiedzieć: A jeźliby też te gwiazdy stałe były słońcami z podobnemi planetami, księżycami i ziemią, jakie do naszego słońca należą, a były jak nasza ziemia przez rozumne istoty zamieszkane, wtedy to ich użytek okazałby się prawdziwie wielki i podziwienia godny, a w takim razie i samo ich przyświecanie i przewodniczenie nam na pustyni i na morzu mniej byłoby znaczące.

Od Redakcji

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

W imię Boże kończymy pierwszy tom czyli półrocze naszego pisma, składając podziękowanie naszym zacnym kapłanom, nauczycielom, radom powiatowym i dyrekcji kolei, iż nas pomocą, radą i nauką wspierać raczyły. Upraszamy ich i nadal o poparcie, a Dzwonek, o ile mu sił starczy dzwonić będzie na pożytek ludziom dobrej woli, rozpraszając ciemności i szerząc swiatło nauki i miłości ojczyzny.

Spis rzeczy i tytuł otrzymają Szanowni Prenumeratorowie z pierwszym nrem. drugiego półrocza.

Upraszamy o wczesne odnowienie prenumeraty która na drugie półrocze wynosi jak dotąd **1 złr. w. a.**

Redakcja Dzwonka przeniosła się z Wałowej ulicy
Wszelkie listy i reklamacje upraszamy nadsyłać pod adresem Redakcja Dzwonka l. 602 1/4 - Pałac Dzieduszyckich.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza